



Gayle Forman „Jeśli zostanę”

Fragment

### 8:17

[...]

Nikt by się nie spodziewał, że po czymś takim radio będzie dalej grać. A jednak...

Samochód został dosłownie unicestwiony. Uderzenie czterotonowej ciężarówki sunącej z prędkością stu kilometrów na godzinę, która wbiła się w nasz wóz od strony pasażera, miało impet bomby atomowej. Wyrwało drzwi, wyrzuciło przedni fotel auta przez okno po stronie kierowcy. Wydarło podwozie, które zatrzymało się do góry kołami w poprzek szosy, i rozdarło silnik na strzępy niczym pajęczynę. Koła i kołpaki odrzuciło głęboko w las. Zapaliło szczątki zbiornika na paliwo, tak że teraz maleńkie płomienie liżą wilgotny asfalt.

Hałas był ogłuszający. Symfonia zgrzytów, chór trzasków, aria eksplozji i na koniec wątle oklaski hartowanego metalu wbijającego się w miękkie pnie drzew. Potem zrobiło się cicho, nie licząc jednego: nadal rozbrzmiewającej *Sonaty wiolonczelowej nr 3* Beethovena. Samochodowe radio jakimś cudem pozostało podłączone do akumulatora i transmisja trwa bez zakłóceń w znów niepozornie spokojny lutowy poranek.

Początkowo sędzę, że wszystko jest okej. Przede wszystkim nadal słyszę Beethovena. Poza tym stoję w przydrożnym rowie. Spoglądam w dół – dzinsowa spódnica, kardigan i czarne buty, które włożyłam rano, wyglądają tak samo jak wtedy, kiedy wychodziłam z domu.

Wspinam się na nasyp, żeby lepiej widzieć samochód. To już nawet nie samochód. To metalowy szkielet bez foteli, bez pasażerów. Czyli członkowie mojej rodziny musieli zostać z niego wyrzuceni podobnie jak ja. Otrzeputuję dłonie o spódnicę i wchodzę na szosę, żeby ich odszukać.

Najpierw dostrzegam tatę. Nawet z odległości paru metrów widzę wybrzuszenie – fajkę w kieszeni marynarki. „Tato!” – wołam, ale kiedy się zbliżam, nawierzchnia drogi staje się śliska i pokryta szarymi grudkami podobnymi do kalafiora. Od razu wiem, co to jest, ale jakimś sposobem nie potrafię tego skojarzyć z moim ojcem. Przypominają mi się zasłyszane opowieści o tornadach i pożarach, które spustoszyły jeden dom, lecz sąsiedni pozostawiły nietknięty. Fragmenty mózgu mojego ojca leżą na asfalcie. Ale fajka pozostała w lewej górnej kieszeni marynarki.

Potem znajduję mamę. Na jej ciele prawie nie widać śladów krwi, lecz wargi zdążyły już zsinieć, a białka oczu są całkowicie czerwone, jak u upiora z niskobudżetowego horroru. Wydaje się kompletnie nierzeczywista. Dopiero obraz mamy wyglądającej jak zombie sprawia, że ogarnia mnie fala przerażenia.

„Muszę znaleźć Teddy’ego. Gdzie on jest?”. Obracam się spanikowana jak wtedy, kiedy na dziesięć minut straciłam go z oczu w sklepie spożywczym. Byłam pewna, że został porwany. Oczywiście zaraz się okazało, że zwiedzał alejkę ze słodyczami. Kiedy go znalazłam, nie wiedziałam, czy go przytulić, czy skrzyczeć.

Biegnę z powrotem w stronę rowu, z którego się wygramoliłam, i widzę wystającą dłoń. „Teddy! Tu jestem! – wołam. – Podaj rękę. Wyciągnę cię!”. Kiedy jednak się zbliżam, zauważam metaliczne lśnienie srebrnej bransoletki z maleńką wiolonczelą i gitarą. Dostałam ją od Adama na siedemnaste urodziny. To moja bransoletka. Założyłam ją dzisiaj rano. Patrzę na swój nadgarstek. Mam ją n a d a l.

Ostrożnie przysuwam się bliżej i już wiem, że to nie Teddy tam leży. To ja. Krew z klatki piersiowej przesiąka przez koszulę, spódnicę i sweter, niczym farba zbiera się w kałużę na nieskalanym śniegu. Jedną nogę mam wykrzywioną, zdarta skóra i mięśnie odsłoniły białe smugi kości. Oczy są zamknięte, ciemnobrązowe włosy mokre i rude od krwi.

Odwracam się. To nie w porządku, to się nie może dziać naprawdę! Jesteśmy rodziną udającą się na przejażdżkę. To nie jest rzeczywiste. Musiałam zasnąć w samochodzie. „Nie! Dość. Proszę, dość. Proszę, obudź się!” – mój krzyk przecina lodowate powietrze. Jest zimno, mój oddech powinien parować. Nie paruje. Patrzę na nadgarstek – ten, który wygląda jak zawsze, bez śladu krwi – i szczypię się ze wszystkich sił.

Nic nie czuję.

Miewałam wcześniej koszmary – że spadam; że gram recital wiolonczelowy, nie znając nut; że zrywam z Adamem... Zawsze jednak potrafiłam się zmusić, by otworzyć oczy, unieść głowę z poduszki, zatrzymać film grozy rozgrywający się pod zamkniętymi powiekami. Próbuję znowu. „Zbudź się! – krzyczę. – Zbudź się! Zbudź się-zbudź się-zbudź się!”. Ale nie potrafię. Nie budzę się.

I wtedy coś słyszę. To muzyka. Nadal słyszę muzykę. Więc na tym się koncentruję. Palcuję nuty *Sonaty wiolonczelowej nr 3* Beethovena, jak często robię, kiedy słucham fragmentów, nad którymi właśnie pracuję. Adam nazywa to „niewidzialną wiolonczelą”. Ciągłe mnie pyta, czy któregoś dnia moglibyśmy zagrać w duecie, on na niewidzialnej gitarze, ja na wiolonczeli. „A kiedy skończymy, możemy połączyć nasze niewidzialne instrumenty jak muzycy rockowi na scenie – żartuje. – Wiesz dobrze, że miałybyś ochotę”.

Gram, skoncentrowana bez reszty, aż zamiera ostatnie drgnienie życia w samochodzie, a wraz z nim muzyka.

Wkrótce potem rozlegają się syreny.

## 9:23

„Czy ja umarłam?”.

Naprawdę muszę sobie zadać to pytanie.

„Czy ja umarłam?”.

Z początku wydawało się oczywiste, że jestem martwa. Że ta scena, kiedy stoję i patrzę, jest przejściowa – taki antrakt poprzedzający finał z jasnym światłem i życiem przelatującym przed oczami, kiedy to zostaną przeniesiona do miejsca docelowego.

Tyle tylko, że teraz są tu sanitariusze wraz z policją i strażą pożarną. Ktoś przykrył płachtą ojca. Jakiś strażak zamyka mamę w plastikowym worku. Słyszę, jak o niej rozmawia z drugim strażakiem, który ma na oko nie więcej niż osiemnaście lat. Ten starszy tłumaczy złotodziobowi, że mama została prawdopodobnie trafiona pierwsza i zginęła natychmiast, co wyjaśnia brak krwi.

– Nagłe zatrzymanie akcji serca – mówi. – Kiedy serce nie może pompować, krew właściwie się nie leje, tylko sączy.

Nie mogę o tym myśleć: o mamie, z której sączy się krew. Zamiast tego wyobrażam sobie, że chciałaby zginąć pierwsza, stanąć między nami i uderzeniem. Choć nie był to oczywiście jej wybór, tak by wolała.

Ale czy ja umarłam? Tę mnie, która leży na skraju drogi, z nogą zwisającą do rowu, otacza grupa mężczyzn i kobiet, desperacko obmywających moje ciało i zatykających mi czymś żyły. Leżę naga do pasa, bo sanitariusze rozdarli mi bluzkę. Jedna pierś jest odsłonięta. Zawstydzona odwracam wzrok.

Policjanci zapalili flary i pokazują kierowcom nadjeżdżającym z obu stron, żeby zawrócili, bo droga zamknięta. Uprzejmie podpowiadają inne trasy; boczne drogi, które zaprowadzą podróżnych tam, dokąd chcą dotrzeć.

Ludzie w samochodach z pewnością mają swoje sprawy, ale wielu nie zawraca. Wysiadają z wozów, obejmując się ramionami dla ochrony przed zimnem. Oglądają scenę wypadku. Potem odwracają wzrok, niektórzy płaczą, jedna kobieta wymiotuje w paprocie na skraju drogi. I mimo że nie wiedzą, kim jesteśmy ani co się stało, modlą się za nas. Czuję to.

I również z tego powodu myślę, że umarłam. Poza tym moje ciało wydaje się zupełnie zdrętwiałe, a przecież wystarczy na mnie spojrzeć – na nogę odartą ze skóry i ciała do gołej kości – by stwierdzić, że powinnam wic się z bólu. Do tego nawet nie płaczę, chociaż wiem, że zaledwie przed chwilą coś niewyobrażalnego stało się z moją rodziną. Jesteśmy jak Humpty Dumpty<sup>1</sup>: wszyscy królewscy konni i dworzanie złożyć nas w całość nie są w stanie.

Właśnie rozmyślam o tym wszystkim, kiedy opatrująca mnie ruda i piegowata sanitariuszka krzyczy:

– Ósemka według skali śpiączki Glasgow. Intubujemy!

Razem z sanitariuszem z wystającą szczęką wsuwają mi do gardła rurkę, przyczepiają do niej worek z gumową gruszką i zaczynają pompować.

– Za ile może być helikopter?

– Dziesięć minut – odpowiada mężczyzna. – Dwadzieścia, żeby wrócić do miasta.

– Musimy ją tam dowieźć w piętnaście, choćbyś miał gnać jak sam diabeł.

---

<sup>1</sup> Aluzja do postaci upersonifikowanego jajka z popularnej angielskiej rymowanki.

Wiem, co myśli sanitariusz. Że w niczym mi to nie pomoże, i muszę się z nim zgodzić. Ale nic nie mówi. Zaciska tylko szczęki. Pakują mnie do karetki; ruda wsiada ze mną z tyłu. Jedną ręką naciska worek, drugą poprawia kroplówkę i przyrządy kontrolne. Potem przygląda lok na moim czole.

– Zostań z nami – prosi.

[...]

## 16:47

Kiedyś mama przeszmurowała mnie do kasyna. Jechaliśmy na wakacje do Crater Lake i zatrzymaliśmy się na obiad w jakiejś letniskowej miejscowości w indiańskim rezerwacie. Mama postanowiła spróbować szczęścia w grach hazardowych, więc z nią poszłam, a tato został z Teddym drzemającym w wózku. Usiadła przy stoliku do black jacka ze stawkami od dolara. Krupier zerknął na mnie, potem na nią. Widząc jego lekko zdumioną minę, posłała mu spojrzenie tak ostre, że przecięłoby diament, a zaraz potem uśmiech iskrzący się niczym brylant. Krupier uśmiechnął się pokornie, nic nie mówiąc. Patrzyłam zafascynowana, jak mama gra. Wydawało się, że spędziłyśmy tam zaledwie kwadrans, ale wkrótce zjawili się tato i Teddy, którzy wyruszyli na poszukiwania – obaj nadąsani. Okazało się, że nie było nas ponad godzinę.

OIOM jest taki sam. Nie sposób określić, jaka to pora ani ile czasu minęło. Nie ma naturalnego światła. Wszystkiemu towarzyszy podkład dźwiękowy, tylko że zamiast elektronicznych popiskiwań automatów do gry i krzepiącego brzęku ćwierćdolarówek słychać buczenie i warkot sprzętu medycznego, przytłumione komunikaty dobiegające z głośników i niemiłkący szmer rozmów pielęgniarek.

Nie mam całkowitej pewności, ile czasu tu spędziłam. Niedawno moja ulubiona pielęgniarka ze śpiewnym akcentem oznajmiła, że idzie do domu. „Wrócę jutro i chcę cię tu zastać, kochanie” – oznajmiła. Z początku uznałam to za dziwne. Czyżby nie chciała, żebym wróciła do domu albo została przeniesiona do innej części szpitala? Potem jednak zrozumiałam: pragnęła zobaczyć mnie na tym oddziale – żywą, nie martwą.

Lekarze zaglądną bardzo często, unoszą mi powieki i świecą latarkami. Robią to szorstko i w pośpiechu, jakby nie uważali, że należy się z nimi obchodzić delikatnie. Dzięki temu uświadamiam sobie, jak rzadko w normalnym życiu dotykamy nawzajem swoich oczu. Czasem rodzice przytrzymują powiekę, żeby wyjąć pyłek, albo chłopak muska ją wargami lekko jak motyl, tuż zanim odpłyniemy w sen. Powieki nie przypominają łokci, kolan czy ramion: części ciała nawykłych do szturchańców.

Pracownica socjalna staje przy moim łóżku. Przegląda kartę i gawędzi z jedną z pielęgniarek, która zwykle przesiaduje przy wielkim biurku pośrodku sali. Zdumiewające, jak czujnie jest się tu obserwowanym. Jeśli nie świecą latarką w oczy albo nie czytają wydruków płynących strugą z drukarek przy łóżkach, to kontrolują funkcje życiowe na monitorze centralnego komputera. Jeśli coś idzie nie tak jak trzeba, któryś z czujników zaczyna piszczeć. Co chwila rozlega się

alarm. Z początku mnie to niepokoiło, teraz jednak wiem, że w połowie wypadków to znak złego funkcjonowania maszyny, a nie człowieka.

Pracownica socjalna wygląda na wyczerpaną; z pewnością chętnie położyłaby się na którymś z wolnych łóżek. Nie jestem jej jedyną podopieczną. Całe popołudnie kursowała między pacjentami a ich krewnymi. Stanowi pomost pomiędzy lekarzami i zwykłymi ludźmi; widać po niej napięcie, jakiego wymaga balansowanie na granicy dwóch światów.

Czyta kartę i rozmawia z pielęgniarkami, a potem wraca piętro niżej do moich bliskich, którzy przestali dyskutować półgłosem i oddali się indywidualnym zajęciom. Babcia robi na drutach. Dziadek udaje, że drzemie. Ciocia Diane rozwiązuje sudoku. Kuzyni na zmianę bawią się game boyem z wyłączonym dźwiękiem.

Kiedy Kim wróciła z kaplicy, zastała panią Schein w stanie kompletnego załamania. Okropnie się zawstydzila i pośpiesznie wyprowadziła matkę. Prawdę mówiąc, sądzę, że obecność pani Schein okazała się błogosławieństwem. Pociuszając ją, wszyscy mieli zajęcie, mogli się poczuć użyteczni. Teraz znowu są nikomu niepotrzebni.

Pracownica socjalna wchodzi do poczekalni i wszyscy zrywają się z miejsc jak na powitanie króla. Kobieta uśmiecha się blado, co widziałam dziś kilkanaście razy. Myślę, że w ten sposób daje znać, że wszystko w porządku albo nic się nie zmieniło; przyszła tylko dostarczyć najnowsze wiadomości, a nie zrzucić bombę.

– Mia wciąż jest nieprzytomna, ale jej funkcje życiowe ulegają poprawie – wyjaśnia zebrany, którzy porzucili w nieładzie zabawki na krzesłach. – W tej chwili jest u niej specjalista od dróg oddechowych. Właśnie przeprowadza badania, by ustalić, jak działają płuca i czy można ją odłączyć od respiratora.

– Więc to dobra nowina, tak? – upewnia się ciocia Diane. – Skoro może oddychać sama, to wkrótce się obudzi?

Kobieta odpowiada wyćwiczonym, współczującym skinieniem.

– To dobry znak, jeśli będzie mogła oddychać samodzielnie. Świadczy, że jej płuca się goją, a stan się stabilizuje. Jednak urazy mózgu wciąż pozostają niewiadomą.

– Jak to? – przerywa kuzynka Heather.

– Nie wiemy, kiedy się obudzi, i nie znamy rozmiarów uszkodzeń mózgu. Pierwsza doba jest krytyczna; Mia ma najlepszą możliwą opiekę.

– Możemy ją zobaczyć? – pyta dziadek.

Kobieta potakuje.

– Dlatego przyszłam. Myślę, że dobrze by jej zrobiły krótkie odwiedziny. Tylko jedna lub dwie osoby.

– My pójdziemy – oznajmia babcia, występując naprzód. Dziadek staje u jej boku.

– Słusznie, tak właśnie pomyślałam – zgadza się pracownica socjalna. – Niedługo wrócimy – wyjaśnia pozostałym członkom rodziny.

Cała trójka w milczeniu rusza korytarzem. W windzie kobieta próbuje przygotować dziadków na mój widok, opowiada o obrażeniach zewnętrznych, które wyglądają poważnie, ale są uleczalne. „Najbardziej niepokoją lekarzy urazy wewnętrzne” – wyjaśnia.

Traktuje dziadków, jakby byli dziećmi. Oni jednak są twardsi, niż można by sądzić. Dziadek był sanitariuszem w Korei. A babcia ciągle ratuje różne stworzenia: ptaki z połamanymi skrzydłami, chorego bobra, jelenia potrąconego przez samochód. Jeleń trafił do rezerwatu przyrody: zabawne, bo normalnie babcia nie znosi tych zwierząt – niszczą jej ogród. „Urocze łajdaki” – mówi o nich. „Smaczne łajdaki” – ripostuje dziadek, piekąc na grillu steki z dziczyzny. Jeśli jednak chodzi o tamtego jelenia, babcia nie mogła patrzeć, jak cierpi, więc go uratowała. W głębi duszy podejrzewam, że uznała go za któregoś ze swoich aniołów.

A jednak, kiedy przez podwójne automatyczne drzwi wchodzi na OIOM, oboje się zatrzymują, jakby powstrzymani przez niewidzialną barierę. Babcia bierze dziadka za rękę, a ja próbuję sobie przypomnieć, czy widziałam, żeby robiła to wcześniej. Rozgląda się po łózkach, szukając mojej postaci, lecz w chwili, kiedy pracownica socjalna wyciąga dłoń, dziadek mnie zauważa i rusza do mojego łóżka.

– Hej, kaczuszeko – mówi. Nie nazywał mnie tak od wieków, od czasu, kiedy byłam młodsza niż Teddy. Babcia zbliża się wolno, chwytając powietrze niewielkimi haustami. Chyba jednak ranne zwierzęta to zupełnie co innego.

Pracownica socjalna przysuwa dwa krzesła i ustawia je w nogach łóżka.

– Mio, twoi dziadkowie są tutaj. – Zaprasza ich gestem, by usiedli. – Zostawię teraz państwa samych.

– Czy ona nas słyszy? – pyta babcia. – Czy zrozumie, co będziemy do niej mówić?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odpowiada kobieta. – Ale państwa obecność może wpłynąć kojąco, jak długo państwa słowa będą uspokajające.

Posyła im surowe spojrzenie, jakby ostrzegając, by nie mówili nic, co by mnie mogło zaniepokoić. Wiem, że jej praca polega na udzielaniu takich właśnie ostrzeżeń; że ma na głowie tysiące spraw i nie zawsze może okazywać wrażliwość, ale przez sekundę jej nienawidzę.

Po jej wyjściu babcia i dziadek siedzą chwilę w milczeniu. Potem babcia zaczyna paplać o orchideach, które hoduje w szklarni. Zauważam, że zmieniła ogrodniczy fartuch na czystą parę sztruksów i sweter. Ktoś musiał jej przywieźć z domu świeże ubranie. Dziadek siedzi zupełnie nieruchomo, tylko ręce mu drżą. Nie jest gadatliwy, więc musi mu być trudno rozmawiać na rozkaz.

Przechodzi kolejna pielęgniarka. Ma ciemne włosy i ciemne oczy podkreślone mocnym, błyszczącym makijażem. Nosi też tipsy z naklejonymi serduszkami. Takie piękne paznokcie z pewnością wymagają sporo wysiłku. Jestem pełna podziwu.

Nie zajmuje się mną, ale mimo to podchodzi do babci i dziadka.

– Niech państwo nie wątpią ani przez chwilę, że ona może was słyszeć – mówi. – Zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co się dzieje wokół.

Przystaje wsparta pod boki. Niemal potrafiłabym sobie wyobrazić, jak wydmuchuje balon z gumy do żucia. Babcia i dziadek wpatrują się w nią, spijając z jej ust każde słowo.

– Pewnie państwo myślą, że wszystko zależy od lekarzy, pielęgniarek i tego tutaj – ciągnie, wskazując gestem ścianę sprzętu medycznego. – Nic podobnego, to ona o wszystkim

decyduje. Może czeka tylko na właściwy moment. Więc niech państwo z nią rozmawiają. Proszę jej powiedzieć, że ma czas, ale musi wrócić. Że państwo na nią czekają.

Więcej informacji na [www.nk.com.pl](http://www.nk.com.pl)